

KSIĄŻKI GARDNER WYWOŁUJĄ CIARKI  
I PRZYSPIESZAJĄ TĘTNO!

Sandra Brown

# LISA GARDNER

## NIEPEWNOŚĆ

Rodzina bez skazy. Porwanie bez motywu.  
I coraz więcej pytań bez odpowiedzi.

ALBATROS

AMERYKAŃSKA MISTRZYNI THRILLERA KRYMINALNEGO

Tytuł oryginału:  
TOUCH AND GO

Copyright © by Lisa Gardner, Inc. 2013  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Wydawnictwo Sonia Draga 2025

Korekta: Dorota Jakubowska i Sabina Raczyńska

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Zdjęcia na okładce: © Dave Wall/Arcangel (*okno*), rawpixel.com/Freepik (*kobieta*)

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com  
wydawnictwoalbatros.com



## Rozdział 1

GDY MIAŁAM JEDENAŚCIE LAT, czegoś się nauczyłam. Cierpienie ma smak. Pytanie brzmi: jak smakuje tobie?

Tego wieczoru moje cierpienie miało smak pomarańczy. Siedziałam naprzeciw męża w restauracji Scampo w Beacon Hill. Dyskretni kelnerzy zjawili się bezszelestnie, żeby ponownie napełnić szampanem kieliszki. Dwóch podeszło do niego, trzech do mnie. Na białym lnianym obrusie leżały koszyk z pieczywem oraz wybór świeżych serów. Obok nich wkrótce pojawią się schludne półmiski z ręcznie krojonymi kłuskami przykrytymi pachnącym groszkiem, chrupiącą pancettą i lekkim sosem śmietanowym. Ulubione danie Justina. Odkrył je dwadzieścia lat temu podczas podróży służbowej do Włoch. Od tego czasu zamawiał je w każdej włoskiej restauracji.

Podniosłam kieliszek szampana. Upiłam łyk i odstawiłam go na stół.

Naprzeciwko mnie Justin się uśmiechnął i w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki. Jego jasnobrązowe krótkie włosy zaczęły siwieć na skroniach i wyglądał jeszcze przystojniej. Ogorzała twarz o twardych rysach była w typie tych, które nigdy nie wyjdą z mody. Kobiety odwracały głowę, kiedy wchodził do baru. Odwracali się też mężczyźni, ciekawi nowego przybysza, niekwestionowanego samca alfa w znoszonych

butach roboczych i koszuli od Brooks Brothers, dzięki którym prezentował się jeszcze bardziej intrygująco.

– Zjesz coś? – spytał.

– Muszę zostawić miejsce na makaron.

Gdy uśmiechnął się ponownie, pomyślałam o piaszczystych białych plażach i słonym, cierpkim powietrzu nad oceanem. Przypomniałam sobie miękkie bawełniane prześcieradła oplatające moje gołe nogi. Był drugi ranek naszego miesiąca miodowego, kolejny dzień, w którym nie wytknęliśmy nosa z bungalowu. Justin wsuwał mi do ust kawałki świeżo obranej pomarańczy, a ja delikatnie zlizywałam lepki sok z jego pokrytych odciskami palców.

Pociągnęłam kolejny łyk szampana, ale tym razem potrzymałam go w ustach, skupiając uwagę na bąbelkach.

Zastanawiałam się, czy tamta była ładniejsza ode mnie. Bardziej interesująca. Lepsza w łóżku. A może żadna z tych rzeczy nie miała znaczenia. Może w ogóle nie stanowiły elementu równania. Może mężczyźni zdradzali żony, bo po prostu tacy byli. Może gdyby pojawiła się okazja, każdy facet by to zrobił.

Gdyby tak było, wydarzenia z ostatnich sześciu miesięcy naszego małżeństwa miałyby może mniej osobisty wymiar.

Wzięłam do ust kolejny łyk szampana, nadal czując pomarańcze.

Justin pożarł zestaw przekąsek, upił mały łyk, a później mechanicznie poprawił sztućce.

W wieku dwudziestu siedmiu lat odziedziczył po ojcu firmę budowlaną wartą dwadzieścia pięć milionów dolarów. Wielu synów zadowoliliby się pozostawieniem kwitnącego interesu w takim stanie, w jakim go przejęli. Ale nie Justin. Kiedy go poznałam, miał trzydzieści cztery lata i zdążył podwoić wartość firmy do pięćdziesięciu milionów; postawił sobie za cel dojście do siedemdziesięciu pięciu w ciągu następnych dwóch

lat. Nie zamierzał tego zrobić, przesiadując w biurze. Szczycił się tym, że jest mistrzem w większości budowlanych fachów. Znał się na hydraulice i elektryce, płytach gipsowo-kartonowych i betonie. Stała się twardo po ziemi – na placu budowy, a także gdy już skończył robotę. Nie unikał towarzystwa pracowników, obracał się wśród podwykonawców.

Kiedyś była to jedna z rzeczy, które kochałam w nim najbardziej. Bo Justin był naprawdę męski. Czuł się swobodnie w sypialni, o ścianach obitych drewnem, i na ulicy, podczas gry w koszykówkę. Lubił zabierać na strzelnicę ulubiony rewolwer kalibru .357, by podziwiać ogień z jego lufy, rozświetlający wnętrze. Gdy zaczęliśmy się spotykać, zapraszał mnie do klubu strzeleckiego. Stałam, ukryta w silnych ramionach, a on pokazywał mi, jak ująć dłońmi rękojeść stosunkowo niewielkiej broni kalibru .22, jak wycelować i posłać kulę w sam środek tarczy. Początkowo nie potrafiłam tego zrobić. Bałam się dźwięku wystrzału, od którego wzdrygałam się mimo osłony na uszach. Trafiałam w ziemię, a jeśli dopisało mi szczęście, w dolny skraj papierowej tarczy.

Justin cierpliwie mnie poprawiał. Raz po raz. Kiedy pochylał się, żeby pomóc mi wycelować, czułam na karku niskie dudnienie jego głosu.

Czasami nie udawało się nam dotrzeć do domu. Kończyliśmy nadzy w łazience na strzelnicy lub na tylnym siedzeniu jego SUV-a stojącego na parkingu. Wbijał palce w moje biodra, przynaglając do coraz szybszych i mocniejszych ruchów, a ja byłam mu uległa, pozbawiona rozumu przez zapach prochu, pożądanie i czystą siłę jego zmysłowości.

Sól. Proch. Pomarańcze.

Justin zostawił mnie na chwilę, żeby skorzystać z łazienki.

Kiedy wyszedł, poprawiłam makaron na talerzu, by wyglądało, że coś zjadłam. Później otworzyłam torebkę i wyjęłam pod stołem cztery białe pigułki. Połknęłam je na raz i popiłam

połową wody ze szklanki.

Następnie podniosłam kieliszek szampana i przygotowałam się na główny punkt wieczoru.

JUSTIN ODWIÓZŁ NAS DO domu w pięć minut. Kupił rezydencję w Bostonie tego samego dnia, kiedy uzyskaliśmy potwierdzenie, że jestem w ciąży. Z gabinetu lekarza pojechaliśmy wprost do biura pośrednika nieruchomości. Później, po zawarciu ustnej umowy, zabrał mnie na miejsce, żebym mogła zobaczyć dom; zachowywał się niczym polujący na grubego zwierzka myśliwy, który chwali się trofeum. Może powinnam była poczuć się urażona jego arbitralnym wyborem, ale gdy obejrzałam trzy i pół piętra wyłożone wspaniałą drewnianą podłogą, wysokie sklepienia sięgające trzech metrów oraz misterne, ręcznie rzeźbione gzymsy, szczeka mi opadła.

Zatem coś takiego można kupić za pięć milionów dolców. Jasne, słoneczne pokoje, urocze zadaszone patio, nie wspominając o sąsiedztwie pięknie odrestaurowanych rezydencji z czerwonej cegły, stojących obok siebie jak dawno niewidziani przyjaciele.

Dom znajdował się przy Marlborough Street, obsadzonej po obu stronach drzewami, zaledwie kilka przecznic od eleganckiej Newbury Street; nie wspominając o tym, że w odległości kilku minut marszu rozciągały się ogrody publiczne. Okolica należała do tych, w których ubodzy jeżdżą saabami, nianie mówią z francuskim akcentem, a starania o przyjęcie dziecka do prywatnej szkoły należy rozpocząć w pierwszym tygodniu po jego poczęciu.

Mąż dał mi wolną rękę. Mogłam wybrać meble, obrazy, dywany. Dorzucić kilka antyków lub nie, nawiązać współpracę z architektem wewnątrz albo obyć się bez niego. Justinowi było to obojętne. Zrób, co musisz, wydaj tyle, ile zechcesz. Zadbaj

tylko o to, żeby to miejsce stało się naszym domem.

No to zadbałam. Jak w scenie z *Pretty Woman*, z tą różnicą, że brali w niej udział drodzy malarze pokojowi, tapeciarze i handlarze antyków pokazujący swoje towary, podczas gdy ja w ciąży siedziałam na kanapie i nonszalanckim skinieniem dłoni zamawiałam odrobinę tego i ciut tamtego. Szczerze mówiąc, miałam mnóstwo frajdy. W końcu mogłam praktycznie wykorzystać swoje uzdolnienia w dziedzinie sztuk pięknych. Mogłam nie tylko wytwarzać biżuterię ze srebrnej glinki, ale też zlecić renowację fasady z bostońskiego czerwono-brunatnego piaskowca.

W tym czasie mieliśmy prawdziwe urwanie głowy. Justin pracował nad dużym kompleksem hydroelektrycznym. Latał helikopterem tam i z powrotem, dosłownie. Ja chwaliłam się postępami w domu, a on masował mi plecy i szczotkował włosy, muskając ustami moją szyję.

Później pojawiła się Ashlyn, a z nią radość, radość i radość. Szczęście, szczęście i szczęście. Justin promieniał z dumy, chwalił się swoją cudowną małą dziewczynką przed każdym, kogo zobaczył. Jego pracownicy odwiedzili naszą bostońską rezydencję. Byli komandos Navy SEALs i żołnierze piechoty morskiej zostawiali ubłocone bucior w lśniącym holu i gapi-li się cielecym wzrokiem na naszą córeczkę drzemącą w różowych śpioszkach. Wymieniali uwagi na temat zmieniania pieluch i właściwej metody przewijania, a później próbowali nauczyć niemowlę podstawowych zasad bekania.

Justin oświadczył kolegom, że ich synowie nigdy nie umówią się na randkę z jego córką. Przyjęli tę nowinę pogodnie, a później utkwili wzrok we mnie. Powiedziałam, że mogą dostać wszystko, czego zapragną, pod warunkiem że zmienią małe pieluchy o drugiej w nocy. Moje słowa wywołały tyle dwuznacznych uwag, że Justin musiał grzecznie wyprosić gości.

Mimo to był szczęśliwy. Ja również. Życie było wspaniałe.

Taka właśnie jest miłość, prawda? Śmiejecie się, płaczecie i wspólnie karmicie dziecko w środku nocy. Kilka miesięcy później nadal się kochacie, ale nagle zdajesz sobie sprawę, że coś się zmieniło, choć zasadniczo wciąż jest super. Justin obsypywał mnie biżuterią, a ja chodziłam na obowiązkowe lekcje jogi i odwiedzałam nieprzyzwoicie drogie sklepy z ubrankami dla niemowląt. To prawda, że męża często nie było w domu, ale nie należałam do kobiet, które boją się zostać same. Miałam córkę, a wkrótce pojawiła się Dina, dzięki której mogłam wychodzić na miasto. Powróciłam do dawnych zajęć w pracowni jubilerskiej: projektowałam biżuterię, pielęgnowałam swoje talenty i promieniałam.

Justin zwolnił, daremnie szukając miejsca, w którym mógłby zaparkować range rovera. Nasz dom miał podziemny garaż – luksus niemal wart podatku, który trzeba było za niego płacić – ale, ma się rozumieć, mąż zostawił go mnie, więc teraz musiał toczyć zażartą walkę o miejsce parkingowe w centrum Bostonu.

Kiedy minęliśmy rezydencję po raz pierwszy, moje spojrzenie odruchowo powędrowało w górę, w kierunku okna na drugim piętrze, gdzie znajdował się pokój Ashlyn. W pokoju było ciemno, co mnie zaskoczyło, bo tego wieczoru miała zostać w domu. Może po prostu nie zapaliła górnego światła i siedziała przed laptopem, zadowolając się poświatą z ekranu. Odkryłam, że piętnastolatki potrafią tak przesiadywać całymi godzinami. Słuchawki w uszach, szklany wzrok wbity w monitor i zaciśnięte wargi.

Justin znalazł wolne miejsce. Szybko wycofał i zgrabnie wcisnął range rovera w wolną przestrzeń. Obszedł wóz i stanął z mojej strony, żeby otworzyć drzwi. Poczekałam na niego.

Zostało jeszcze kilka sekund. Dłonie, które położyłam na kolanach, zacisnęłam tak mocno, że zbieleły mi knykcie. Próbowałam się zmusić do oddychania. Wdech. Wydech. To



bardzo proste. Krok po kroku, chwila po chwili.

Czy pocałuje mnie w usta? Albo w miejsce, które kiedyś odkrył za moim uchem? A może po prostu zdejmujemy ubranie, wgramolimy się do łóżka i będziemy mieli to za sobą. Zgaszone światło, zaciśnięte powieki. Może przez cały czas będzie myślał o niej? A może to bez znaczenia. Przecież jest ze mną. Zwyciężyłam. Odzyskałam męża, ojca mojego dziecka.

Drzwi się otworzyły i ujrzałam nad sobą faceta, którego poślubiłam osiemnaście lat temu. Wyciągnął rękę. Ruszyłam za nim. Wsiadłam z samochodu i zaczęłam iść chodnikiem. Żadne z nas nie powiedziało ani słowa.

JUSTIN PRZYSTANAŁ PRZED FRONTOWYMI drzwiami. Miał zamiar wprowadzić hasło na klawiaturze numerycznej, ale nagle zamarł, zmarszczył brwi, a później posłał mi szybkie spojrzenie.

– Wyłączyła alarm – mruknął. – Znowu zostawiła otwarte drzwi.

Spojrzałam na klawiaturę przy drzwiach i zrozumiałam, o co mu chodzi. Sam zainstalował system alarmowy. Nie było to urządzenie mechanicznie blokujące zasuwę, ale układ sterowany elektronicznie. Kiedy wprowadziło się prawidłowy kod, system rozbrajał zamki i drzwi się otwierały. Prosta sprawa: nie znasz kodu, nie wchodzisz.

Wydawało się to idealnym rozwiązaniem dla kilkunastoletniej córki, która wyjątkowo często zapominała o zabraniu klucza. Jednak żeby alarm działał, musiał zostać załączony, co dla Ashlyn było kolejnym wyzwaniem.

Justin przekręcił gałkę. Drzwi otworzyły się bezgłośnie na ciemny hol. Teraz to ja zmarszczyłam brwi.

– Mogła przynajmniej zostawić światło.

Moje szpilki głośno zastukały, kiedy przeszłam na drugą

stronę korytarza, by zapalić żyrandol. Nie trzymałam się już ramienia Justina, więc nie stąpałam tak pewnie. Zastanawiałam się, czy to zauważył. Ciekawe, czy w ogóle go to obchodziło.

Dotarłam do panelu umieszczonego w ścianie. Przełączyłam pierwszy przełącznik. Nic. Spróbowałam ponownie. Kilka razy przesunęłam go w górę i w dół. Nadal nic.

– Justin... – wyjąkałam ze zdumieniem.

Usłyszałam, jak mówi:

– Libby...

Później rozległ się zabawny świszczący odgłos przypominający strzał z pistoletu małego kalibru. Nagle ciało Justina wygięło się w łuk. Patrzyłam z otwartymi ustami, jak staje na palcach, a później przechyla się w tył, wydając przez zaciśnięte zęby gardłowy jęk bólu.

Poczułam woń spalonej skóry. Wtedy zobaczyłam mężczyznę.

Był potężnie zbudowany, większy od mojego męża, który miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, ważył sto kilogramów i pracował na placach budów. Masywna ciemna postać mająca na końcu holu, z dłonią zaciśniętą na dziwnie wyglądającym pistolecie o kwadratowej lufie. Jak przez mgłę zauważyłam jasnozielone konfetti. Jego małe kawałeczki posypały się na drewnianą podłogę, gdy mąż wykonywał *danse macabre*. Zamaskowany mężczyzna zrobił kolejny krok.

Zdjął palec ze spustu, a Justin przestał się wyginać. Nagle jakby zapadł się w sobie. Wziął urywany oddech, ale wielokrotnie ponownie wystrzelił. Ciało męża wygięło się konwulsyjnie cztery, pięć, sześć razy. Stałam z otwartymi ustami i wyciągniętą ręką, jakby miała to powstrzymać kołysanie pokoju.

Justin coś powiedział, ale z początku nic nie zrozumiałam. Później to do mnie dotarło. Niskim, chrapliwym głosem kazał mi uciekać.

Zrobiłam jeden krok. Wystarczająco długi, żeby spojrzeć błagalnie w kierunku ciemnych schodów. Modliłam się, żeby córka była bezpieczna w swojej sypialni na drugim piętrze. Żeby kołysała się z iPodem u boku, nieświadoma tego, co dzieje się na dole.

Wtedy olbrzym odwrócił się do mnie. Błyskawicznym ruchem wsunął kwadratowy nabój do lufy pistoletu, w którym rozpoznałam taser. Skoczył w moją stronę i przyłożył mi koniec lufy do uda. Pociągnął za spust.

Punkt zetknięcia lufy z nogą natychmiast rozjarzył się nieznośnym bólem. Ponownie woń spalonego ciała. I krzyk. Pewnie mój.

Zwróciłam uwagę na dwie rzeczy: własny przejmujący ból i białka oczu napastnika. Dotarło do mnie jak przez mgłę, że ma na głowie kominiarkę. Czarną narciarską kominiarkę zasłaniającą usta, nos i resztę twarzy, i to tak szczelnie, że nie był człowiekiem, ale pozbawionym twarzy potworem. Bestią o białych oczach wkraczającą do mojego domu wprost z koszmarów.

Nagle Justin rzucił się niezgrabnie do przodu i zasypał słabymi razami grzbiet większego napastnika. Postać w czarnej masce wykonała lekki obrót, wymierzając cios karate w gardło Justina.

Mąż wydał przerażający gulgot i osunął się na podłogę.

Moja lewa noga się ugięła i runęłam w dół jak on. Później poturlałam się i zwymiotowałam szampana.

Ostatnią myślą, która przebiła się przez ból, pieczenie, panikę i lęk, było... żeby tylko nie znalazł Ashlyn. Żeby nie znalazł Ashlyn.

Niestety, chwilę później ją usłyszałam. Dobiegł mnie jej wysoki, przerażony głos.

– Tato! Mamo! Tatusiu!

W ostatniej chwili świadomości zdążyłam odwrócić głowę.

Ujrzałam dwóch innych zamaskowanych ludzi trzymających moją córkę, która wiła się w ich uścisku. Wlekli ją w dół po schodach.

Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę. Kocham cię, próbowałam powiedzieć.

Ale z moich ust nie wydobyło się ani jedno słowo.

Zamaskowany napastnik ponownie uniósł taser. Spokojnie włożył nowy nabój. Wycelował i strzelił.

Moja piętnastoletnia córka zaczęła krzyczeć.

**CIERPIENIE MA SMAK.**

Pytanie brzmi: jak smakuje tobie?

## Rozdział 2

OBUDZIŁO JĄ ĆWIERKANIE KOMÓRKI, co było zaskakujące przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, teoretycznie nie wykonywała już pracy, która wymagała odbierania telefonów o wczesnych godzinach porannych. Po drugie, oznaczało to, że musiała zasnąć, co było kolejną rzeczą, która teoretycznie nie zdarzyła się jej od miesięcy.

Tessa Leoni leżała z lewej strony łóżka, kiedy telefon zaczął coraz głośniejszymi akordami dzwonić. Zdała sobie sprawę, że sięga dłonią nie w kierunku komórki, ale pustej połowy materaca. Choć od jego śmierci minęły dwa lata, nadal wyciągała rękę w poszukiwaniu męża, który kiedyś tam spał.

Telefon zaświergotał głośniejszym, z większą natarczywością. Siłą woli przewróciła się na drugi bok, w stronę stolika nocnego, uświadamiając sobie, że prawdziwy sen zdeorientował ją bardziej od chronicznej bezsenności.

Odebrała, zanim wybrzmiał ostatni dzwonek. Rozpoznała głos szefa, co stanowiło trzecią niespodziankę, bo rzadko to on inicjował kontakt. Otrząsnęła się z resztek snu, czując, jak do głosu dochodzą lata szkolenia. Skinęła głową, zadała wszystkie niezbędne pytania, a później odłożyła komórkę i włożyła ubranie.

Jeszcze chwila zawahania. Zabrać broń czy nie? Teraz już nie musiała tego robić, w przeciwieństwie do czasów, kiedy

była funkcjonariuszką policji stanu Massachusetts. Czasami jednak było to przydatne nawet na jej obecnym stanowisku. Pomyślała o informacjach przekazanych przez szefa – sytuacji, czasie oraz liczbie niewiadomych – i podjęła decyzję. Sejf na broń był z tyłu szafy. Wyćwiczonymi palcami przekręciła w ciemności gałkę zamka szyfrowego, wyciągnęła glocka i wsunęła go do kabury pod pachą.

Była gotowa do wyjścia o szóstej dwadzieścia osiem w sobotę rano.

Podniosła komórkę i włożyła ją do kieszeni płaszcza, a później ruszyła korytarzem, żeby zawiadomić o swoim wyjściu mieszkającą u niej na stałe gospozię, nianię i długoletnią przyjaciółkę w jednej osobie.

Pani Ennis już się obudziła. Podobnie jak wiele starszych kobiet dysponowała niemal nadprzyrodzoną zdolnością wyczucia, kiedy jest potrzebna, i zwykle reagowała z wyprzedzeniem. Siedziała wyprostowana na łóżku, przy włączonej lampie. W rękach trzymała notatnik, by zapisać przekazane w ostatniej chwili polecenia. Spała w sięgającej kostek flanelowej koszuli w czerwono-zieloną kratę, którą Sophie podarowała jej rok temu na Boże Narodzenie. Pani Ennis potrzebowała jedynie małego białego czepka, żeby wyglądać jak babcia z *Czerwonego Kapturka*.

– Dostałam wezwanie – oznajmiła Tessa.

– Co mam jej powiedzieć? – spytała pani Ennis.

„Ona”, czyli Sophie, była ośmioletnią córką Tessy. Dwa lata temu straciła ojca w strzelaninie i niechętnie spuszczała matkę z oczu. To właśnie z powodu córki, a także dla własnego dobra Tessa po śmierci Briana zrezygnowała z pracy w policji stanowej. Sophie potrzebowała więcej stabilności; musiała wiedzieć, że przynajmniej jeden rodzic wróci na noc do domu. Nowa praca Tessy w agencji zajmującej się wywiadem gospodarczym oznaczała zasadniczo stałe godziny pracy, od

dziewiątej do siedemnastej. Oczywiście z wyjątkiem dzisiejszego porannego telefonu...

– Mam wrażenie, że sprawa jest pilna – odpowiedziała po chwili wahania. – Może to oznaczać, że wrócę za dzień lub dwa. Wszystko zależy od tego, z czym będę mieć do czynienia.

Pani Ennis skinęła głową, nie mówiąc ani słowa.

– Powiedz Sophie, żeby pisała – dodała Tessa. – Nie wiem, czy zawsze będę mogła odebrać telefon. Niech wysła esemesy, na pewno jej odpiszę.

Kiwała głową, wypowiadając te słowa. Była zadowolona z odpowiedzi, której udzieliła. Sophie musiała mieć możliwość skontaktowania się z nią. Upewnienia się, że mama jest w pobliżu.

Bo pewnego razu Tessy przy niej nie było, a po takim ranku, nawet dwa lata później, wciąż nosi się blizny.

– Dziś rano Sophie ma zajęcia z gimnastyki – powiedziała pani Ennis. – Może mogłaby później zaprosić do siebie koleżankę? To zajmie jej uwagę.

– Dziękuję. Postaram się zadzwonić przed obiadem, a już na pewno zanim mała pójdzie do łóżka.

– Nie martw się o to – zapewniła ją energicznie pani Ennis. Opiekowała się Sophie od czasu, gdy ta była niemowlęciem. Miały za sobą długie lata, kiedy Tessa patrolowała ulice na nocnej zmianie. Nie było żadnej sprawy związanej z domem lub Sophie, z którą pani Ennis nie potrafiłaby sobie poradzić. Staruszka zdawała sobie z tego sprawę. – Idź już – powiedziała, wskazując ręką drzwi. – Poradzimy sobie.

– Dziękuję. – Tessa była jej naprawdę wdzięczna.

– Uważaj na siebie.

– Zawsze na siebie uważam. – Także to powiedziała serio.

Ruszyła ciemnym korytarzem do drzwi. Stawiała kroki wolniej, niż chciała, na chwilę zatrzymując się obok sypialni córki. Byłaby samolubna, gdyby weszła do środka i

obudziła małą, dlatego zadowolona się przystaniem w otwartych drzwiach i zajrzeniem do pogrążonego w mroku pokoju. Po chwili rozpoznała ciemnokasztanowe loki Sophie na jasnozielonej poduszce.

W sypialni paliły się dwie nocne lampki, bo dziewczynka nie czuła się bezpiecznie w ciemności. Objęła dłońmi ulubioną lalkę, Gertrude, o brązowych włosach z przędzy i ciemnych oczach podobnych do guzików. Po śmierci Briana Gertrude miała klatkę piersiową oklejoną plastrami. Boli ją serce, tłumaczyła córka, a Tessa kiwała głową ze zrozumieniem.

Nie tylko Sophie miała blizny wywołane wydarzeniami sprzed dwóch lat. Za każdym razem, gdy Tessa wychodziła z domu – do pracy, pobiegać czy na zakupy do spożywczego – boleśnie odczuwała fizyczne rozdzielenie z dzieckiem, jakby została rozerwana na dwoje i nie mogła być pełną osobą, dopóki nie wróci do domu. Czasami nadal widziała we śnie krew i śnieg. Wyciągała rękę, żeby chwycić padającego męża. Równie często jednak śniło się jej, że nadal trzyma pistolet, wciąż naciska spust.

W końcu zdołała pokonać cały korytarz. Przystanęła na chwilę w kuchni, skreśliła krótką wiadomość i zostawiła ją na krześle córki. Napisała: *Kocham cię, niebawem wrócę do domu...*

Później wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi.

TESSA NIE NALEŻAŁA DO dzieci, które dorastały, marząc o tym, żeby zostać policjantem. Jej ojciec był mechanikiem złotą rączką, robotnikiem, którego bardziej interesowała codzienna szklanka jacka daniel'sa niż jedyna córka. Matka istniała w jej pamięci jedynie jako mglista postać rzadko opuszczająca sypialnię w tylnej części domu. Umarła młodo, więc Tessa mogła tylko opłakiwać jej wyobrażenie, a nie prawdziwą osobę.



Żyjąc na własny rachunek, podjęła decyzje, które spowodowały, że została sama, w ciąży i bez środków do życia. I wtedy musiała dorosnąć. Nie robiła wielkiej tragedii z tego, że zawiodła samą siebie, ale nie było mowy, by zawiodła własne dziecko. Pierwszym krokiem było znalezienie pracy odpowiedniej dla samotnej matki mającej zaledwie średnie wykształcenie. W ten sposób trafiła do akademii policyjnej. Spędziła tam sześć miesięcy; uczyła się strzelać, walczyć wręcz i planować akcje. Była zaskoczona tym, że okazała się świetna we wszystkich trzech dziedzinach.

Mało tego – kochała tę robotę. Służbę policyjną, mundur, poczucie koleżeństwa. Przez cztery lata patrolowała autostrady Massachusetts, zatrzymując pijanych kierowców, zażegnując bójki i kłótnie domowe. Przez cztery lata miała cel i poczucie, że jej praca naprawdę coś zmienia. Była szczęśliwa.

Wciąż ufała swojemu wykszoleniu, gdy teraz wjechała do centrum Bostonu; rozglądała się, gdzie zaparkować, i obserwowała miejsce, w którym doszło do przestępstwa. Denbe'owie mieszkali w dzielnicy Back Bay, jednej z najzamożniejszych części miasta, jak przystało na właściciela firmy wartej sto milionów dolarów. W okolicy roilo się od dostojnych rezydencji położonych na tyle blisko, że ktoś powinien coś usłyszeć, a jednocześnie na tyle drogich, że ściany były z pewnością pokryte warstwą materiału, który zapewniał bogaczom poczucie przebywania na własnej bezludnej wyspie pośrodku morza innych domów.

Nie zauważyła furgonetki koronera ani ruchomego centrum dowodzenia, co miało sens, bo sprawę zakwalifikowano jako kradzież z włamaniem. Naliczyła za to sześć radiowozów oraz kilka nieoznakowanych pojazdów używanych przez detektywów. Ciut za dużo ludzi jak na zwykłe włamanie. Nie wspominając o obecności grupy śledczych... Widocznie zmienili wstępną kwalifikację.

Tessa objechała Marlborough Street i skręciła w tylną alejkę, gdzie mieszkańcy Back Bay, do których uśmiechnął się los, mieli zarezerwowane miejsca parkingowe, a jeszcze więksi szczęściarze – prywatne garaże. Znalazła wolne miejsce i je zajęła. Oczywiście całkowicie wbrew przepisom, ale dostrzegła inne samochody detektywów i zorientowała się, że nie ona pierwsza wykorzystała okazję. Wyjęła plakietkę, żeby oznaczyć swojego lexusa jako pojazd wydziału dochodzeń specjalnych, i umieściła ją na desce rozdzielczej. Pewnie mimo to wlepią jej mandat, ale mówi się trudno.

Wysiadła z samochodu, owinięła się długim czekoladowo-brązowym wełnianym płaszczem, a później się zawahała.

W pierwszym odruchu chciała pozbyć się glocka. Włożyć go do schowka w desce rozdzielczej. Wniesienie broni na miejsce przestępstwa, na oczach detektywów z Bostonu, z pewnością wywoła ironiczne komentarze.

Ale ta myśl ją wkurzyła. Jedna z podstawowych zasad gli-niarza: nie pozwól, by zobaczyli, że się czymś przejmujesz. Uniosła brodę, wyprostowała plecy, wsunęła zarejestrowaną broń do kabury pod pachą i ruszyła przed siebie.

Słońce stało wysoko na niebie, oblewając złocistą poświatą rezydencje o kremowych fasadach i domy z czerwonej cegły. Wróciwszy na Marlborough Street, ruszyła chodnikiem do rezydencji Denbe'ów, podziwiając frontowe schody ozdobione wyschniętą kukurydzą i innymi dekoracjami ze zbiorów rolnych, które pozostały po Święcie Dziękczynienia. Większość rezydencji mogła się poszczycić małym ogrodem, odgradzonym od chodnika ozdobnym parkanem z kutego żelaza. O tej porze roku roślinność ograniczała się do miniaturowych bukszpanów, nieco większych liściastych krzewów, czasem uschłych chryzantem. Tego dnia temperatura nie była najgorsza, a słońce obiecywało trochę ciepła. Dzień po dniu będzie zawieszony coraz niżej, dni staną się krótsze, zerwie się

przenikliwy wiatr i wkrótce nastanie grudzień z jego niemal bolesnym porannym chłodem.

Młody policjant w mundurze stał samotnie przed wejściem do domu Denbe'ów. Przestępował z nogi na nogę, żeby się ogrzać albo nie zasnąć. Stojąc na chodniku przed piękną rezydencją o kremowej fasadzie i czarnych detalach, Tessa nie dostrzegła najmniejszego śladu tragedii, która się tu rozegrała. Żadnej policyjnej taśmy rozciągniętej wzdłuż frontowych schodów, żadnych noszy czekających w wąskim przejściu. Miejsce wydawało się względnie spokojne, co skłoniło ją do zastanowienia, czemu bostońska policja nie chciała, żeby ludzie dowiedzieli się, co tu zaszło.

Z relacji szefa Tessy wynikało, że gosposia Denbe'ów zadzwoniła na policję tuż po piątej trzydzieści rano. Powiedziała, że w domu najprawdopodobniej doszło do włamania. Natychmiast wysłano tam policjanta mającego służbę w tym rejonie. Na miejscu okazało się, że sprawa wygląda na nieco poważniejszą od zwykłego włamania. To wywołało kolejne telefony, między innymi z firmy Justina Denbe'a do przełożonego Tessy.

Podczas pierwszej rozmowy z szefem Tessa uznała sytuację za kłopotliwą. Teraz, patrząc na ciemny orzech włoski rosnący przed frontowymi drzwiami, określiła ją jako skomplikowaną. Bardzo skomplikowaną.

Ruszyła w kierunku młodego policjanta, pokazując odznakę. Zgodnie z jej przewidywaniami pokręcił głową.

– To prywatne przyjęcie – poinformował Tessę. – Tylko dla bostońskiej policji.

– Mam specjalne zaproszenie – zaprotestowała. – Od Denbe Construction, firmy należącej do właściciela tego domu. To korporacja specjalizująca się w projektowaniu posiadłości wartych sto milionów dolarów, zleczanych przez senatorów z tego stanu i wysokich urzędników z Waszyngtonu.

Tacy wyrobnicy jak my nie mogą pozwolić sobie na to, żeby ich wkurzyć.

Spojrzał na nią gniewnym wzrokiem.

– Jakich urzędników z Waszyngtonu?

– Ważniaków, którzy mogą wystawić Justinowi Denbe'owi zaproszenie na uroczystość zaprzysiężenia prezydenta, jeśli będzie miał ochotę. – Może nieco przesadziła, ale chciała zostać dobrze zrozumiana.

Policjant przeniósł ciężar ciała z lewej nogi na prawą. Nie do końca uwierzył w te polityczne koneksje, ale skoro rezydencja znajdowała się w zamożnej dzielnicy Back Bay, nie mógł też całkowicie zlekceważyć ich prawdopodobieństwa.

– Rozejrzyj się wokół – naciskała Tessa. – Pomyśl o tej rodzinie i okolicy. Do licha, to nie nasza liga. Dlatego firma pana Denbe'a wynajęła firmę, w której pracuję. Prywatną firmę zajmującą się ochroną prywatnych interesów. Nie mówię, że to słuszne, że musi ci się to podobać, ale oboje wiemy, co to za kręgi. Tak działa ten świat.

Już prawie go przekonała. Wiedziała, że go przekona. I oczywiście w tym momencie pojawiła się detektyw sierżant D.D. Warren z wydziału zabójstw bostońskiej policji.

Bezkompromisowa blondynka wyszła frontowymi drzwiami, ściągnęła lateksowe rękawiczki, zauważyła Tessę i uśmiechnęła się z wyższością.

– Słyszałam, że zostałam policjantką do wynajęcia – przywitała ją. Jej krótkie jasne loki kołysały się w porannym słońcu, kiedy schodziła po stopniach. Znana z dobrego gustu, miała na sobie czarne sprane dżinsy, jasnoniebieską bluzkę zapinaną na guziki i karmelową skórzaną kurtkę. Stąpała pewnie mimo wysokich szpilek.

– Słyszałam, że zostałam mamą.

– I mężatką. – Detektyw Warren błysnęła jej przed oczami niebieskawo lśniąca obrączką. Zatrzymała się obok

umundurowanego policjanta, który zaczął spoglądać na boki, szukając drogi ucieczki.

Ostatni raz D.D. i Tessa widziały się w szpitalnym pokoju, dwa lata temu. Warren i jej towarzyszy z policji stanowej, Bobby Dodge, przesłuchiwali Tessę w związku z postrzeleniem jej męża, zamordowaniem funkcjonariusza oraz śmiercią dwóch kolejnych osób. Nie podobały się jej pytania D.D., a D.D. nie spodobały się odpowiedzi Tessy. Najwyraźniej żadna z nich nie zmieniła zdania o tej drugiej.

D.D. wskazała brodą charakterystyczne wybrzuszenie pod rozpiętym płaszczem Tessy.

– Naprawdę pozwalają ci nosić broń?

– Tak to bywa, kiedy sąd oczyści człowieka ze wszystkich zarzutów. Uzna go za niewinnego w oczach prawa i tak dalej.

D.D. przewróciła oczami. Dwa lata temu nie uwierzyła w jej historię.

– Co tu robisz? – spytała rzeczowo.

– Przyszłam odebrać ci sprawę.

– Nie możesz.

Tessa nie odpowiedziała, bo cisza była najlepszą demonstracją siły.

– Mówię serio – podjęła D.D. – Nie możesz odebrać mi sprawy, bo jej nie prowadzę.

– Co?! – Tessa nie mogła powstrzymać zdumienia. Była to nieoczekiwana wiadomość, zważywszy na pozycję D.D. w bostońskiej policji, gdzie była uważana za superglinę.

D.D. wskazała głową frontowe drzwi w fasadzie z czerwono-brunatnego piaskowca.

– Sprawę prowadzi detektyw Neil Cap. Jest w środku, jeśli chcesz zamienić z nim słówko.

Tessa musiała przeszukać zasoby pamięci.

– Zaraz, zaraz, ten rudowłosy dzieciak? Gość, który prześiadywał w biurze koronera? Masz na myśli tego Neila?

– Dobrze go wychowałam – odparła skromnie D.D. – Nawiasem mówiąc, Neil jest pięć lat starszy od ciebie. I nie lubi, jak nazywa się go dzieciakiem. Będziesz potrzebowała lepszych manier, jeśli chcesz odsunąć go od śledztwa.

– Nie potrzebuję dobrych manier. Właściciele posiadłości wyrazili zgodę na to, żebym tu weszła.

D.D. zrobiła zdziwioną minę i chytrze zmrużyła jasnoblękitne oczy.

– Rodzina? Gadałaś z nimi? Bo widzisz, bardzo nam zależy, żeby z nimi porozmawiać. Właściwie natychmiast.

– Nie rozmawiałam z rodziną. Okazało się, że Justin Denbe nie kupił tego domu, jak wielu bogatych facetów. Zrobiła to jego firma.

Detektyw Warren zawsze była bystrą babką.

– Cholera. – Ciężko westchnęła.

– Dziś o szóstej rano – poinformowała ją Tessa – Denbe Construction zleciło firmie Northledge Investigations załatwienie wszelkich formalności związanych z tą nieruchomością. Zostałam upoważniona do wejścia na jej teren, zbadania miejsca popełnienia przestępstwa i przeprowadzenia niezależnej analizy. Możemy tu stać, czekając, aż faks dotrze do waszego biura. Albo możesz pozwolić, żebym natychmiast wzięła się do roboty. Wyjaśniłam temu znakomitemu funkcjonariuszowi, że rodzina Denbe'ów ma pewne koneksje. Oznacza to, że możesz wpuścić mnie do środka i położyć moją głowę pod topór. Oszczędzisz w ten sposób czas i siły potrzebne do znalezienia kogoś, na kogo będzie można zwalić winę.

D.D. nie odpowiedziała, tylko pokręciła głową. Przez chwilę wpatrywała się w ceglana ścianę, żeby zebrać się w sobie, a raczej obmyślić nowy atak.

– Ile lat odsłużyłaś jako policjantka patrolująca ulice, Tessa? – spytała zagadkowo. – Cztery, pięć?

– Cztery.

Doświadczona detektyw spojrzała jej w oczy. Wyraz twarzy Warren nie był drwiący, ale szczery.

– Nie masz wystarczającego doświadczenia do prowadzenia tej sprawy – stwierdziła otwarcie. – Nigdy nie analizowałaś dowodów, nie wspominając o zbadaniu prawie czteropiętrowego miejsca popełnienia przestępstwa oraz wzięciu odpowiedzialności za zaistniałą sytuację. Nie chodzi o łapanie kierowców przekraczających dozwoloną prędkość czy badanie pijanych alkomatem. Zniknęła cała rodzina, w tym kilkunoletnia dziewczyna.

Tessa zachowała kamienną twarz.

– Wiem.

– Jak się miewa Sophie? – spytała nagle detektyw.

– Świetnie, dziękuję.

– Mój syn ma na imię Jack.

– Ile ma?

– Jedenaście miesięcy.

Tessa musiała się uśmiechnąć.

– Pewnie nie sądziłaś, że można kogoś tak kochać? Dopóki nie obudzisz się następnego dnia i nie odkryjesz, że kochasz go jeszcze mocniej?

D.D. nie odwróciła oczu.

– Tak.

– A nie mówiłam?

– Pamiętam, Tessa. Słuchaj, nadal uważam, że popełniłaś błąd. Pewnych granic nie wolno przekraczać. Jako policjantka wiesz o tym lepiej od innych. Mimo to zastrzeliłaś człowieka z zimną krwią. Z miłości czy nienawiści, zabójstwo nigdy nie jest słuszne.

– Rzekomo – odparła chłodno Tessa. – Rzekomo zastrzeliłam człowieka z zimną krwią.

D.D. nie wyglądała na rozbawioną.

– Ale... ale odzyskałaś córkę – podjęła nieco

delikatniejszym tonem. – Tak jak powiedziałaś, zdarzają się dni, kiedy patrzę na mojego syna i... sama nie wiem. Gdyby znalazł się w niebezpieczeństwie, gdybym obawiała się o jego życie... Cóż, nadal nie zgadzam się z tym, co zrobiłaś, ale teraz lepiej cię rozumiem.

Tessa pozostała niewzruszona. Wyznanie przypominało przeprosiny – przynajmniej na tyle, na ile było to możliwe w przypadku D.D. Warren – i od razu wzbudziło podejrzenia Tessy co do następnego posunięcia detektyw z Bostonu.

Miała rację.

– Słuchaj, nie mogę ci zakazać wejścia do domu i przeprowadzenia niezależnej analizy, skoro zostałaś upoważniona przez właściciela – powiedziała D.D. – Proszę jedynie o uszanowanie naszej pracy, dobrze? Neil to dobry detektyw, którego wspiera doświadczony zespół. Co więcej, już zaczęliśmy analizować dowody. Jeśli stało się to, co podejrzewamy, od naszego współdziałania zależy los całej rodziny. Chodźmy.

Tessa zawahała się chwilę.

- Przemawianie słodkim głosem nie jest w twoim stylu.
- A bycie głupią w twoim.
- Fakt.
- Umowa stoi?

Słońce stało w zenicie. Ogrzewało wyłożoną ceglami ścieżkę, oświetlało ściany kremowej rezydencji, sięgało promieniami uchylonych solidnych drzwi z orzecha włoskiego. Taka piękna ulica, pomyślała Tessa, i taka straszna zbrodnia. Wiedziała jednak, że nikt nie ma pojęcia, co działo się za zamkniętymi drzwiami, w rzekomo szczęśliwej rodzinie z zamkowej bostońskiej elity.

Zrobiła pierwszy krok w kierunku domu.

- Nie będę dotykać dowodów.
- Już powiedziałam, że...
- Zależy mi wyłącznie na komputerach.



- Dlaczego właśnie na nich?
- Powiem ci, kiedy je znajdę. Nie traćmy czasu. Jak powiedziałaś, zegar tyka. Gratuluję nowej rodziny, D.D.
- Detektyw Warren ruszyła w ślad za nią.
- Taaak, a ja gratuluję nowej pracy. Powiedz mi: tarzasz się w forsie?
- Tak.
- Założę się, że przesiadujesz w robocie długimi godzinami.
- Co wieczór wracam do domu na kolację.
- Ale za nami tęsknisz, prawda?
- Tak, prawie cały czas.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiazka.pl](http://taniaksiazka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).